

Małgorzata Kowalska

Uniwersytet w Białymstoku

E-MAIL: malkowal@gmail.com

Alicja Korzeniecka-Bondar

Uniwersytet w Białymstoku

E-MAIL: alibon@uwb.edu.pl

Uniwersytet w ryzach myślenia technokratyczno-biznesowego Małgorzata Kowalska w rozmowie z Alicją Korzeniecką-Bondar

STRESZCZENIE

W rozmowie podjętych zostało szereg wątków dotyczących uniwersytetu jako przestrzeni tworzenia wiedzy, formowania przyszłych elit oraz miejsca pracy. Filozof Małgorzata Kowalska dokonuje szerokiej analizy współczesnych trendów funkcjonowania uniwersytetu oraz przemian pracy akademików. Ukazuje też konsekwencje neoliberalnego uwikłania uniwersytetu dla rozumienia jego misji oraz definiowania istoty pracy nauczycieli akademickich.

SŁOWA KLUCZOWE: uniwersytet, reforma, wiedza, konkurencja, działania pozorne

Alicja Korzeniecka-Bondar: Zwracam się do Pani Profesor jako osoby zajmującej się filozofią człowieka, moralności, filozofią społeczną i polityczną, by z tak szerokiej perspektywy spojrzeć na uniwersytet. Spotykamy się w przededniu nowego roku akademickiego 2017/2018, oczekując na wyniki parametryzacji oraz na nową ustawę o szkolnictwie wyższym, tak szeroko obecnie dyskutowaną. Jak Pani Profesor określiłaby tę sytuację uniwersytetu czy na uniwersytecie, w której obecnie się znajdujemy?

Małgorzata Kowalska: Wskazać można na dwa problemy. Pierwszy ogólniejszy, drugi bardziej szczegółowy. Problem pierwszy dotyczy zmiany miejsca uniwersytetu w życiu państwa i w życiu społecznym – to już wieloletni proces. To nie jest kwestia ostatnich lat ani poprzedniej, czy obecnej reformy. Natomiast problem szczegółowy wiąże się z konkretnymi regulacjami dotyczącymi uniwersytetu czy uczelni w ogóle. Tutaj w grę wchodzi – poprzednia reforma, tak zwana reforma minister Kudryckiej, jak i obecna, planowana przez ministra Gowina.

Zacznę od tego ogólnego problemu. Jestem przywiązana, tak jak wielu ludzi w pewnym wieku albo o pewnego typu wykształceniu, do klasycznej idei uniwersytetu. Uniwersytetu, który jest wspólnotą uczących się i uczonych, gdzie chodzi o pewne bezinteresowne wartości – poczynając od tych najwyższych, jak prawda i jej dociekanie, ale także swobodną dyskusję, rozwijanie horyzontów, poszerzanie i zdobywanie wiedzy w ramach określonej specjalności – ale właśnie w pewnym uniwersalnym kontekście, co wynika z samej nazwy uniwersytetu. To jest idea wywodząca się jeszcze ze średniowiecza, gdzie została jakoś stematyzowana. Potem została rozwinięta w dobie oświecenia, zwłaszcza przez Humboldta, w okresie powstawania niemieckiego uniwersytetu klasycznego. No, ale już wtedy przewidywano dla uniwersytetu określone miejsce w systemie państwa – miał być kuźnią elit i to elit państwowotwórczych. Tak było w Niemczech, tak było też we Francji porewolucyjnej (oczywiście na bazie nieco innej ideologii). Cały system szkolnictwa miał służyć wykształceniu obywatela, który będzie funkcjonalny w ramach nowego, nowoczesnego państwa. I ta funkcja szkolnictwa, w tym także uniwersytetu, na ogólnym poziomie przetrwała. Jednak w związku z kompletną zmianą kontekstu politycznego, społecznego, gospodarczego, technologicznego trudno dzisiaj powiedzieć, jakiego typu kształcenie służy państwu i w ogóle jaka jest rola państwa w ramach szerszych, globalnych, a co najmniej europejskich, struktur. Znacząco też zmieniła się relacja między wiedzą a gospodarką. Jeszcze w wieku XIX wiedza (zwłaszcza humanistyczna, ale także przyrodnicza) mogła być postrzegana jako wartość sama w sobie. Dzisiaj wiedzę traktuje się coraz bardziej instrumentalnie.

A.K.-B.: Jako produkt.

M.K.: Tak, jako produkt albo jako narzędzie. Wiedza ma być narzędziem rozwoju gospodarczego, a jeżeli nie wprost gospodarczego, to w każdym razie jakiegoś umacniania swej pozycji na globalnym rynku. Nawet jeżeli będzie to rynek idei, rynek punktów – traktuje się ją w kategoriach kwestii gospodarczej albo wprost gospodarczej, albo kwestii gospodarczej konkurencji. Wiedza stała się, jak mówił Jean François Lyotard (1997), „momentem w krążeniu kapitału” i w dużej mierze straciła wartość autoteliczną. I to, rzecz jasna, w sposób decydujący wpływa na kondycję uniwersytetu.

To nie jest tylko problem Polski, to jest problem ogólnoswiatowy. Uczelnie się coraz bardziej zaprzęga do wyścigu gospodarczo-technologicznego i rynkowego. To rodzi rozmaitego rodzaju problemy, frustracje, burzą się studenci, ale także akademicy. Oczywiście, można się burzyć i ja się burzę w imię bardziej klasycznej idei uniwersytetu, ale trzeba się zgodzić z tym, że wraz ze zmianami społecznymi, gospodarczymi, politycznymi itd. miejsce uniwersy-

tetu też musi się zmieniać. Nie może on pozostać przecież zamkniętą twierdzą. Musi być w jakimś stopniu zgodny, na ogólnym poziomie, z tzw. otoczeniem społecznym. Ale pytanie brzmi: na czym ta zgodność ma polegać? Czy uniwersytet ma być podporządkowany w gruncie rzeczy rynkowym i politycznym interesom, naciskom, decyzjom? Bo w dużej mierze tak dzisiaj jest. Czy też ma być tym miejscem, w którym się przynajmniej do jakiegoś stopnia decyduje o tym, jak ma wyglądać i polityka, i gospodarka, i pożądany kształt społeczeństwa? Krótko mówiąc, czy jest to jeszcze miejsce, w którym kształtuje się jakaś wizja kulturotwórczej elity? Uniwersytet nie może być tylko narzędziem w rękach istniejących elit politycznych i gospodarczych. Ten spór na ogólnym poziomie trwa i jest, mimo wszystko, nierozstrzygnięty. Wiele jednak niestety wskazuje na to, że obecnie autonomia uniwersytetu (nie tylko w sensie organizacyjnym) jako miejsca kształcenia i wiedzy cały czas się kurczy, tzn. uniwersytet staje się coraz bardziej podporządkowany bieżącym interesom politycznym i ekonomicznym.

No i reforma, żeby już przejść do konkretów. Ta planowana reforma Gowina dosyć wyraźnie w tym kierunku zmierza. Mówi się o tym, że uniwersytety mają być bardziej autonomiczne, ale przez autonomię rozumie się wyłącznie to, że będą w mniejszym stopniu podlegać regulacji ministerstwa, a w większym regulacji rektora, rad powierniczych, lokalnych władz – to jest autonomia jedynie na poziomie czysto organizacyjnym, ona absolutnie nie wpływa na to, że badania będą autonomiczne, że będzie jakieś miejsce na bezinteresowność wiedzy, że będzie miejsce na kształcenie tzw. obywatelskich czy, ogólnie biorąc, otwartych i krytycznych postaw studentów. Wręcz przeciwnie, wygląda na to, że mamy coraz intensywniej wyłącznie zabiegać o to, żeby zająć lepszą pozycję na globalnym rynku, przyczyniać się do rozwoju gospodarki i wzrostu znaczenia naszego państwa w świecie. Jeśli nie wprost do rozwoju gospodarczego, to przynajmniej do poprawienia pozycji symbolicznej, na przykład w ramach międzynarodowych rankingów, takich jak ranking szanghajski, klasyfikujący światowe uczelnie. To jest istna obsesja naszych reformatorów. Tak jakby od pozycji w tych rankingach zależało to, czy Polacy będą mądrzejszym i lepszym społeczeństwem...

A.K.-B.: Pani Profesor mówi o tym, że uniwersytet ma autonomię w wymiarze zarządzania, organizacji instytucji. Odnieśmy się w takim razie do założeń projektu Ustawy 2.0 dotyczącej podziału uczelni na akademickie i zawodowe, co służyć ma przejrzystości finansowania, zmniejszeniu wymogu rywalizowania – z założenia będą to inne uczelnie, służące innym celom. Ale czy to nie jest tylko znowu „przykrywka” czegoś, głębszych podziałów, które

chce się wprowadzić, pozycjonowania jednostek? To jest inny prestiż być uczelnią akademicką niż uczelnią zawodową.

M.K.: Z całą pewnością, ale ten projekt jest jeszcze bardzo niedopracowany, więc nawet trudno oceniać. Przewiduje się podział na uczelnie akademickie i zawodowe, ale o sposobie działania i charakterze tych ostatnich właściwie nic nie wiadomo. Uczelnia zawodowa może być rozumiana jako wąskospecjalistyczna, bardzo praktyczna, kształcąca wyłącznie do pewnego typu konkretnych zawodów, takich jak: ratownik medyczny, pielęgniarka itp. W każdym razie dostarczająca konkretnych kompetencji i umiejętności. Jednak np. w Stanach Zjednoczonych, które dla naszych reformatorów są często pozytywnym punktem odniesienia, istnieją kolegia tzw. sztuk wyzwolonych, humanistyczne (3-letnie). To nie są jeszcze poważne uniwersytety, ale ogólnokształcące, ogólnohumanistyczne uczelnie wyższe, które w naszym systemie byłyby czym? Też byłyby zawodowe? Raczej nie, skoro nie rozwijałyby konkretnych umiejętności. Ale i nie akademickie, bo pozbawione uprawnień do kształcenia na poziomie magisterskim i wyższym. W sumie nie wiadomo, czym miałyby być te szkoły zawodowe. Zasadnicze pytanie brzmi, jakiej wiedzy, jakiego rodzaju, jakich konkretnych umiejętności powinny dostarczać? Tylko technicznych, czy także ogólnych, w tym ogólnohumanistycznych?

Jeśli nawet skupimy się tylko na problemie uczelni akademickich – tu też pojawia się problem, bo ogólna kategoria uczelni akademickich nie wykluczy realnego podziału i hierarchii między nimi. Nawet jeżeli warunkiem otrzymania tego zaszczytnego miana będzie posiadanie, w ocenie parametrycznej, wysokich ocen dla poszczególnych dyscyplin – to inna będzie pozycja uczelni, która będzie miała trzy takie dyscypliny, podczas gdy inna będzie ich miała trzynaście. Siłą rzeczy one będą zupełnie inaczej finansowane. Jeżeli finansowanie ma być zależne od parametryzacji, od tego typu ewaluacji, od średniej kategorii, to te uczelnie będą miały zupełnie inną pozycję. A zatem bez względu na to, jak zostaną nazwane, to tak czy owak będą nierówne i nierówno traktowane.. Jeżeli system finansowania ma być tak ściśle związany z zaostrzoną kategoryzacją, to pogorszenie się kondycji uczelni mniejszych, takich jak UwB, jest absolutnie nieuchronne. I nawet jeśli się mówi, co jest pewnego rodzaju demagogią, że w punkcie wyjścia nie rozstrzygamy, kto znajdzie się w uczelnianej elicie, że każdy ma takie same szanse: i Uniwersytet Warszawski, i Jagielloński, i na prowincji w tzw. Pcmiu Dolnym, to wiadomo, że nie ma jednakowych szans w punkcie wyjścia. Żeby uczelnie mogły rywalizować na takich samych zasadach, to warunki w punkcie wyjścia musiałyby być porównywalne, a one obecnie nie są porównywalne ani jeśli chodzi o ilość kadry, ani o poziom finansowania. Nie mówiąc o rzeczach

niewymiernych, że gdy się jest w stolicy, to zawsze jest tam więcej chętnych i do pracy, i do studiowania, uczelnia jest inaczej postrzegana, niż kiedy się jest na prowincji. A zatem to te warunki startowe zadecydują w gruncie rzeczy o hierarchii uczelni i ich pozycji w kraju.

A.K.-B.: Albo w regionie, jako lidera.

M.K.: Tak, w regionie mogą być liderem. Ten projekt ustawy przewiduje pewną szansę, jaką byłyby tzw. federacje – łączenie mniejszych, regionalnych uczelni publicznych. Na przykład, gdyby w Białymstoku nastąpiło połączenie trzech największych uczelni (Uniwersytet w Białymstoku, Uniwersytet Medyczny i Politechnika Białostocka), to zapewne ten kapitał wyjściowy byłby znacznie większy. To jednak tworzy inne problemy. Rodzi się pytanie: na ile rzeczywiście te uczelnie, z których każda stworzyła już pewien profil, ma swoje tradycje i swoją ofertę kierunków kształcenia, zdołają się porozumieć i stworzyć wspólną strategię działania? Jeśli ta ustawa wejdzie w życie, to takie zabiegi pewnie będą podejmowane, być może nawet okażą się globalnie korzystne. Tylko że w gruncie rzeczy to jest czysta gra pozorów, bo realna jakość badań przez to automatycznie nie wzrośnie, wzrośnie tylko nasza liczebna siła. To znowu jest takie myślenie w kategoriach skuteczności, skutecznej walki o przetrwanie według zadanych kryteriów. Niezależnie od tego, co się za tym naprawdę kryje na poziomie rozwoju wiedzy, kształcenia itd. Być może poradzimy sobie z „filozofią” tej reformy, ale ona nie jest sympatyczna.

A.K.-B.: Jaka jest ta „filozofia”? Z jednej strony dostrzec można podziały, z drugiej obietnicę, że ich nie będzie?

M.K.: Oczywiście tworzy się pozory egalitaryzmu, buduje się przekonanie, że uczelnie, gdy będą akademickie, mają równe szanse. Jednocześnie jednak proponuje się tak wyśrubowane kryteria zbiurokratyzowanej ewaluacji, ściśle powiązane z poziomem finansowania, z uprawnieniami do doktoryzowania, habilitowania, że nieuchronnie doprowadzi to do podziałów. No więc ten egalitaryzm jest obłudny. Nie ma się co łudzić – jeżeli ta reforma wejdzie w życie, to uczelnie regionalne, takie jak UwB, znajdują się w gorszej sytuacji niż dzisiaj, w porównaniu z największymi i „centralnymi”. I w gruncie rzeczy o to w tej reformie chodzi.

A.K.-B.: Kategorie uzyskiwane przez wydziały wiążą się z naszą „produkcją” tekstów naukowych, z publikowaniem w najwyższej punktowanych czasopiśmie naukowych. Gdyby Pani Profesor mogła pokazać, jakie dostrzega strategię, które nauczyciele akademicy stosują, żeby wypełnić to oczekiwanie. Wszyscy jako pracownicy uczelni mamy świadomość, że kategoria przypisana wydziałowi jest wynikiem wielkiej, kolektywnej pracy.

M.K.: Strategie są oczywiście różne – uczciwe i mniej uczciwe. Uczciwa strategia polega na tym, że skoro już przyjmujemy do wiadomości, godzimy się z regułami, że trzeba publikować w światowych, liczących się czasopismach, no to po prostu aplikujemy do tych czasopism. Są ludzie, którzy to robią z mniejszym lub większym powodzeniem – to są strategie uczciwe. Są też strategie nieuczciwe, np. gdy publikacje się kupuje – powstają różne czasopisma, które z pozoru są porządne, a następnie okazuje się, że są tworzone specjalnie po to, żeby tam niektórzy mogli publikować, zwłaszcza z zagranicy, jeśli zapłącą. Słyszysz się o takim biznesie publikacyjnym.

Jestem sceptyczna i zawsze byłam, jeśli chodzi o wyróżnianie wysoko punktowanych czasopism, i to nie dlatego, że to zaostrza konkurencję. Czasopisma są wtedy dobre, gdy są sprofilowane, gdy są otwarte na pewien typ tekstów, pewien typ badań. To w sposób niemerytoryczny, sztuczny dzieli ludzi na tych, którzy bardziej są dostosowani do struktury i wymogów tych wysoko punktowanych czasopism oraz na tych, którzy są mniej dostosowani. To są sztuczne sposoby hierarchizowania dorobku naukowego. Dorobek naukowy zawsze był oceniany i trzeba go oceniać. Ale zawsze szukano kompromisu pomiędzy tym, co jest policzalne a oceną jakościową. To się dzieje jeszcze przy ocenie dorobku przy awansie. Kiedyś stawiało się bardziej na oceny merytoryczne, na recenzowanie i dyskusowanie w domenie publicznej o konkretnych publikacjach – wtedy wiadomo było, że one zostały zauważone. Obecnie nie ma większego znaczenia, jaka jest recenzja merytoryczna i szerszy odbiór jakiejś publikacji... Istotne jest, gdzie się ona ukazała i za ile punktów. Zakłada się, że decydująca jest recenzja, na ogół anonimowa, zamawiana przez redakcję czasopisma. Przewaga kryteriów policzalnych nad niepoliczalnymi jest deprymująca i odbija się ze szkodą dla jakości autentycznej debaty naukowej. Te punkty są tym, czym w systemie ekonomicznym jest pieniądź – stanowią umowy ekwiwalent wartości. Lepsze to oczywiście niż całkowita dowolność ocen przełożonych. Ale alternatywa między policzalnością i arbitralnością jest fałszywa.

Zwolennicy parametryzacji twierdzą, że stanowi ona ochronę przed systemem feudalnym, opartym na hierarchii stopni naukowych, w którym recenzje pisze się złośliwie lub zbyt życzliwie, profesor nie daje rozwijać się młodszemu albo daje tylko tym, którymi może się wysłużyć itd. Uważam, że takie praktyki – których naprawdę nie znam z własnego doświadczenia – stanowią margines, a robienie z tego reguły i głoszenie, że trzeba rozbić te feudalne układy, wprowadzić w tę „zatechłą”, feudalną atmosferę ducha rynkowej rywalizacji, jest oparte na fałszywej diagnozie. Zwolennicy takiego podejścia nie zdają sobie sprawy z patologii, jakie już się wiążą z tą wymuszoną rywalizacją.

Głosi się, że nie ma alternatywy – albo jest uznaniowy system feudalny, albo ostry system rywalizacji rynkowej. Tymczasem inny system jest możliwy, a nawet istniał już przez wiele lat (oczywiście, ze wszystkimi słabościami) – taki mianowicie, w którym względy policzalne i niepoliczalne były jakoś równoważone. Nie musimy odbijać się od ściany do ściany. Zresztą nigdy przy tej ścianie nie byliśmy. Sytuacja polskiej nauki nie jest wcale tak zła, jak niektórzy twierdzą, biorąc pod uwagę ranking szanghajski lub inny. Dużo zależy od poziomu finansowania nauki, a wiadomo, że w Polsce jest on żaden. Ale wiele zależy też od tego, co się liczy. Gdy się liczy zdobywców Nagrody Nobla, to Polska się tym nie poszczyci. Natomiast jeśli się pokazuje bardziej szczegółowe zestawienia, to w powiązaniu z poziomem finansowania i liczbą pracowników danej dyscypliny produktywność naszych uczonych wcale nie jest zła. No więc nie można dawać się traktować jak dziecko do bicia, bo w tej chwili jesteśmy tak traktowani przez wszystkich reformatorów, którym głównie zależy na tych czysto pozornych (w każdym razie symbolicznych) zyskach, takich jak podciągnięcie się o ileś pozycji w światowym rankingu. Można poprawić tu swoją pozycję prostymi trikami, np. łącząc największe polskie uczelnie i instytuty PAN. Można to zrobić także na skalę regionalną. Tylko po co?

A.K.-B.: Pani Profesor wskazała strategie uczciwe i nieuczciwe, ale są to strategie wpisujące się w istniejącą logikę. Czy obecnie jest jeszcze miejsce na nieposłuszeństwo wobec tej logiki?

M.K.: Oczywiście, że jest na to miejsce. Są takie środowiska, jak na przykład Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej, z którym jestem jakoś pośrednio związana, w którym się zbierają ludzie zbuntowani przeciwko tej logice. Ten bunt ma jednak swoje granice.

A.K.-B.: Ale te osoby funkcjonują na uczelniach, na wydziałach, gdzie są rozliczani.

M.K.: Dokładnie tak, mogą sobie pogadać, ja też mogę sobie pogadać, ale jak przychodzi co do czego, to na wydziale oczekuje się listy publikacji, udziału w parametryzacji. Gdyby środowisko rzeczywiście masowo odrzucało tę narzucaną nam logikę, pewnie dałoby się ją co najmniej poluzować. Ale ona ma już zasięg globalny (obowiązuje, choć w różnych wersjach szczegółowych, nie tylko w USA i krajach Europy Zachodniej, ale także w Rosji i Białorusi, a pewnie i w Chinach). Należy do ogólnej logiki tego, co nazywa się niekiedy „turbokapitalizmem”, chociaż należy dodać, że jest to kapitalizm nie tylko z turbodoładowaniem, ale także z potężnym wsadem biurokratycznym. Ten system leży w interesie najsilniejszych globalnych graczy, ale i słabsi muszą się do niego dostosować – albo zginąć. Na ogół środowiska naukowe i biznesowe, które są bliżej władzy, mają wpływ na realną politykę naukową.

Problemem jest i to, że środowisko nie ma jednolitych interesów. Czasami nawet w obrębie jednej uczelni różne wydziały mają odmienne interesy. Być może nawet pracownicy samodzielni i niesamodzielni mają trochę inne interesy. Ponieważ wspólny mianownik tych interesów jest nieoczywisty, tym łatwiej jest całym towarzystwem zarządzać z zewnątrz.

A.K.-B.: Pani Profesor wspomniała na początku, że dokonuje oglądu tego, co się dzieje na uniwersytecie jako osoba z określonym wykształceniem, stażem pracy na uczelni, co pozwala zachować dystans i świadomość, że było inaczej i może być inaczej. Natomiast jak się obserwuje młodych ludzi od niedawna pracujących na uczelni (no, powiedzmy, po doktoracie), to oni wydają się znakomicie wdrożeni w tę logikę, zdają się nawet nie zastanawiać nad tym, czy to ma sens.

M.K.: Też mam takie wrażenie, że młode pokolenie (takie 30+), czyli osoby, które wykształciły się i zaczęły pracę na uczelni w nowych czasach, traktują ten system jako naturalny, z pewnymi wyjątkami oczywiście. Co prawda w Komitecie Kryzysowym Humanistyki Polskiej są w większości młodzi ludzie, których radykalizm mnie samą nieraz zdumiewa, a nawet przeraża. Ale oni nie są bardzo reprezentatywni dla swojego pokolenia. Statystycznie, myślę, istnieje różnica między młodszymi i starszymi, jeśli chodzi o stopień dostosowania do „systemu”. Ta różnica nie jest związana tylko z umiejętnością dystansu lub jego brakiem, a raczej z bagażem zawodowym i życiowym. Prawda też jest taka, że młodszy na ogół lepiej znają języki obce i są często sprawniejsi w sprawach informatycznych, np. lepiej sobie radzą z elektronicznymi formularzami, w których się wypełnia wnioski o granty. Starsi czasami mają z tym problem – problem techniczny. Powinna istnieć jakaś wyraźniejsza pomoc administracyjna w tych sprawach, której brakuje. W każdym razie – ludzie, którzy studiowali i zaczęli pracę w tzw. poprzednim systemie, siłą rzeczy mają inne doświadczenia. Wszystko ma swoje dobre i złe strony. Wtedy uczelnie były o wiele mniej dynamiczne, mniej otwarte na świat, ale były też bardziej elitarne (na dobre i na złe). Przyjmowano stosunkowo mało studentów. I kryteria oceny wewnętrznej (pomijając oczywiście różne patologie – zdarzali się docenci marcowi, partyjni itd.), pozbawione dzisiejszej punktologii, były na ogół merytoryczne. Wiadomo było, kto jest dobry w takiej czy innej dziedzinie. Bez tej całej technokratyczno-biurokratycznej oprawy, parametryzacji, policzalności, bo w ograniczonym środowisku dało się to rozpoznać. Teraz, przy otwarciu na cały świat, jest to po prostu trudniejsze. Ja wspominam tamten, znacznie mniej otwarty, uniwersytet, nie powiem, że dobrze, ale w każdym razie z pewną nostalgią i jako możliwość, której wartości nie można całkowicie negować. Nie można powiedzieć,

że w PRL-u, czy ogólnie przed '89 rokiem, uniwersytet był w całości hierarchiczny, dogmatyczny, niemerytoryczny. Przeciwnie – można wiele dobrego powiedzieć o uczelni z tamtych czasów. Było tam miejsce dla mistrzów i dla bezinteresownych pasjonatów. Ale nie da się już tego utrzymać z powodów obiektywnych. Świat się zmienił. Niemniej – pewne elementy można by próbować jakoś transponować na nową rzeczywistość. Tymczasem u nas zmiany muszą być zawsze rewolucyjne...

A.K.-B.: Czy obecnie nie wyłaniają się zupełnie inne funkcje, cele uniwersytetu? Bo z jednej strony jest grupa osób starająca się tworzyć etos trocki o prawdę, o wymianę myśli, o kształtowanie studentów jako krytycznych, niepewnych, wymagająca dużo także od siebie, a z drugiej będą ci, którzy mówią: stawiam na jeden wymiar i świadomie odpuszczam sobie pewne rzeczy, bo nie warto, bo z tego nikt nie rozlicza.

M.K.: Dokładnie tak. W tej chwili jest wyraźny nacisk na to, żeby uczony, młody czy stary, ktoś, kto zajmuje się nauką oraz kształceniem, jednocześnie był rodzajem menadżera swojej własnej kariery i żeby zarządzał i swoją karierą, i swoją jednostką, i studentami, wyznaczał konkretne zadania. To jest przeniesienie myślenia technokratyczno-biznesowego na sferę, która do tej pory rządziła się innymi regułami. Ale faktycznie niektórzy uważają to za całkowicie naturalne. Nauka też ma być zadaniowa – napisać artykuł, wystąpić o grant, zrealizować konkretne badanie, zrobić konkretnie jeden punkt w całym spektrum możliwych zagadnień – nie rozglądając się na boki, nie tracąc czasu. Robi się z nas funkcjonalne kółeczka w systemie. Ale czy to będzie faktycznie funkcjonalne? Jakiego rodzaju społeczeństwo będzie efektem takiego typu edukacji i takiego uprawiania nauki? Mnie, jako humanistkę, to martwi. Już dostrzegam, że społeczeństwo mamy w dużej mierze bezmyślne. Taki rodzaj kształcenia może uczynić je bardziej wydajnym, ale chyba jeszcze bardziej bezmyślnym.

A.K.-B.: Ale czy w ogóle jeszcze uniwersytet ma jakieś znaczenie dla kształtowania społeczeństwa, dla jednostek? Czy to nie jest jednak takie pozorne myślenie, że przez te 3 czy 5 lat mamy szansę wpłynięcia na to, jaki będzie ten młody człowiek? Oni przychodzą tacy z niższych szczebli.

M.K.: Tacy ukształtowani, że już się nie da nic zrobić?

A.K.-B.: Może to źle brzmi, ale czy rzeczywiście ten ruch myślowy jesteśmy jeszcze w stanie zaszczepić, zakorzenić?

M.K.: Studenci są różni. To prawda, są coraz bardziej ukształtowani przez system społeczny w ogóle i przez szkołę, na wcześniejszych etapach edukacyjnych zwłaszcza. I często już tacy są: wymierni, zadaniowi, od a do m coś zrobić, ale nie dalej. Ale to zależy także od dyscypliny. Na filozofię, którą jeszcze

udaje się nam utrzymywać, przychodzą tacy trochę bardziej rozchwiani – na dobre i na złe.

A.K.-B.: W tej sytuacji, w której nauczyciele akademicy są skoncentrowani na punktach, na tej gonitwie, która wyznacza nasze być albo nie być w zawodzie, siłą rzeczy nauczanie zostaje zdeprecjonowane. Tadeusz Sławek pracę ze studentami nazywa „sercem i początkiem naszego zawodu” (Sławek 2010, s. 17). Czy rzeczywiście teraz tak jest?

M.K.: To bardzo ważny problem. Wy na pedagogice siłą rzeczy jesteście najbardziej wrażliwi na ten dydaktyczny, nauczycielski aspekt naszej pracy. Ale muszę przyznać, że ja również, im jestem starsza, tym bardziej jestem na to wrażliwa. Absolutnie zgadzam się z Tadeuszem Sławkiem – nauczanie jest sercem naszej pracy. W tym systemie rozliczania nas z naszego dorobku tzw. badawczego, nauczanie jest na ogół traktowane podrzędnie. To widać po stosunku, jaki niektórzy pracownicy mają do pracy dydaktycznej. Te obowiązki często, za przeproszeniem, odważa się po to, by zająć się czymś innym.

W projekcie nowej ustawy jest pomysł rozdzielenia dwóch ścieżek kariery. W myśl tego projektu będzie można być nawet profesorem uczelnianym bez habilitacji, podążając tzw. ścieżką dydaktyczną. Mam bardzo wiele wątpliwości z tym związanych. Bo to jest sztuczne rozdzielanie umiejętności dydaktycznych od pracy badawczej. W praktyce rodzi to poważne zagrożenie, że ścieżką dydaktyczną będą podążać ci, którzy nie potrafią zająć się pracą badawczą. A dla odmiany ci, którzy będą się zajmować pracą badawczą, będą obojętni na dydaktykę. Więc jaka to będzie dydaktyka? Przecież chodzi o to, żeby dydaktyka na uczelni wyższej miała związek z tym, co ci nauczyciele badają, a nie żeby studentom tylko z podręczników przekazywano zawsze to samo. To jest jakiś potencjalnie niebezpieczny pomysł. I on też będzie służył, przy całym swoim pozornym egalitaryzmie, hierarchizacji uczelni. Te, gdzie będzie dużo pracowników dydaktycznych, staną się zawodowe. A te, gdzie będzie więcej stanowisk badawczych, będą akademickie. Moim zdaniem, to jest zły pomysł na umocnienie roli nauczania na uniwersytecie. A jaki byłby dobry? No taki, żeby rzeczywiście przyznać większe znaczenie przy ocenie dorobku dydaktycznemu wymiarowi pracy nauczycieli akademickich. Nie tylko w ocenie okresowej pracownika, ale przy kolejnych szczeblach awansu. Niby to się robi, przy habilitacji na przykład uwzględnia się też osiągnięcia dydaktyczne, ale tylko na zasadzie sprawozdania papierowego.

A.K.-B.: Ale zwykle jest ono traktowane jako kryterium mało znaczące.

M.K.: Po pierwsze, nie jest traktowane jako ważne, po drugie, w dorobku sprowadzone jest do listy prowadzonych przedmiotów i rodzajów zajęć, ale już nie przeprowadzi się żadnego wywiadu, żeby sprawdzić, jak ten nauczyciel

akademicki uczy. Teoretycznie to wszystko można byłoby zmienić. Dydaktyka jest niewątpliwie niedoceniana na uczelniach wyższych. Należałoby rozpocząć dyskusję, jak podnieść jej prestiż i znaczenie. Inna sprawa, że czasami studenci są zadowoleni, kiedy im się po prostu daje święty spokój.

A.K.-B.: Gdybyśmy mogły teraz, nadal w duchu myślenia o dobrym, wartościowym życiu, porozmawiać o tym, czy uniwersytet jest dzisiaj dobrym miejscem pracy dla pracowników naukowo-dydaktycznych?

M.K.: *Per saldo* ciągle jeszcze jest na tak – mimo że ta praca jest coraz bardziej stresująca, że coraz więcej jest elementów zarządzania, administracji, biurokracji, a coraz mniej wolności. Ale mimo wszystko na uczelni nie jest tych elementów więcej, a może nawet mniej, niż w innych zawodach. Potrafię sobie wyobrazić lepszy uniwersytet, natomiast jakbym miała wybierać, czy dzisiaj wolę pracować na uczelni taką jaką ona jest, czy w korporacji albo w jakimś urzędzie – to jednak wolę uczelnię. W tym sensie, że to nie jest najgorsze miejsce do pracy. Powiedzmy szczerze, nauczyciel akademicki może sobie pozwolić na pracę nieregularną. Nie musi pracować od 8 rano do 16, a pracę badawczą może intensyfikować w pewnych okresach, w innych zwalniając. (*Nota bene* oczekiwanie, że w każdym okresie może pracować równie intensywnie, które zdaje się przyświecać reformatorom, jest kompletnie nierealistyczne, wręcz sprzeczne z psychologią). Ma się tutaj pewną swobodę wyboru, kiedy pracuje się intensywnie, a kiedy mniej. Ta praca jest nadal stosunkowo mało zmechanizowana. Można sobie wyobrazić o wiele większą fabrykę. Ten element wyboru, wolności jest podstawowym warunkiem jakiegokolwiek sensownej pracy, czy to nauczycielskiej, czy badawczej. Gdyby go nie było, nie dałoby się tej pracy wykonywać.

A.K.-B.: Z jednej strony jest ta wolność i elastyczność, o której Pani Profesor mówi, a z drugiej, w odczuciu moim i moich koleżanek, kolegów, nasza praca się nie kończy. Nie ma czytelnej granicy pomiędzy godzinami pracy i czasem po pracy. Często otrzymuję wiadomości w środku nocy, bo ludzie jeszcze pracują, piszą. We wrześniowej „Krytyce Politycznej” ukazał się artykuł pod tytułem: NAUKA? PRACA JAK KAŻDA INNA (Brzezicka, 2017) – czy rzeczywiście można tak powiedzieć o tej naszej pracy? Czy jednak od naukowca nadal nie oczekuje się jakiegoś elementu geniuszu, wybitności i sprawności intelektualnej? Czy w obszarze nauki wystarczające rezultaty przynosi systematyczna, sumienna, rzetelna praca?

M.K.: Dostrzegam tu kilka problemów. Oczywiście ten element wolności, o którym mówiłam, może kojarzyć się z jakimiś wybitnymi uzdolnieniami, a te nie wszyscy mają i nie wszyscy muszą mieć. Natomiast innym problemem jest porządne uprawianie nauki jako pewnego rodzaju rzemio-

sła. Nauka jest rzemiosłem, nawet filozofia, w jakiejś mierze, jest po prostu rzemiosłem. Trzeba coś przeczytać, zrozumieć, zrobić przypisy, napisać itd. To niekoniecznie jest od razu genialna koncepcja – i w każdej dyscyplinie tak jest, od matematyki po pedagogikę. Nauka wszędzie na świecie stoi na średniakach – ważny jest średni poziom. Ci wybitni wszędzie stanowią absolutną mniejszość, niekoniecznie zresztą najwybitniejsi pracują na uczelniach. Pracując na uczelni trzeba mieć nie tylko obiektywne predyspozycje umysłowe, ale także pewien rodzaj pasji, cierpliwości, solidności – i w tym sensie jest to praca jak każda inna. No, ale równocześnie różni się od innych rodzajów pracy. Choćby, wspomnianym w pytaniu, wymiarem godzin – nie od 8 do 15 każdego dnia, ale za to można pracować do północy, w domu. W wakacje też nadrabia się zaległe rzeczy, pracuje się niemal bardziej intensywnie niż w ciągu roku, bo nie ma dydaktyki. W tym sensie jest to praca bardzo wymagająca.

A.K.-B.: Gdyby Pani Profesor zechciała jeszcze wrócić do tych patologicznych strategii, które nie dotyczą radzenia sobie z parametryzacją, z kategoriami. „Złych praktyk” można dostrzec znacznie więcej: plagiaty, dopisywanie autorów do artykułów, projektów, turystyka konferencyjna, kopiowanie z Internetu, budowanie tekstów w pośpiechu, zgłaszanie ich na ilość, bez dbania o jakość. Czy mamy jakąś szansę, żeby się tego pozbyć? Czy też, skoro w wielu obszarach życia społecznego wzrasta przyzwolenie na niemoralne działania, kręctwo, ale też niezyczliwość, mowę nienawiści itd., to mamy potraktować to jako praktykę życia społecznego, której mamy się także poddać?

M.K.: No nie, poddawać się nie należy. Natomiast, jak skutecznie walczyć z takimi postawami, to jest kolejny temat na dyskusję. Elitarnie pomyślana parametryzacja mogłaby w pewnym stopniu przed tego typu zachowaniami chronić. Ale też każdy kij ma dwa końce, tak jak mówiłam wcześniej: taka rygorystyczna parametryzacja powodowałaby podział niekoniecznie według kryteriów merytorycznych, ale także związanych z wpasowywaniem albo niewpasowywaniem się w konkretne oczekiwania jakichś czasopism. Patologie da się jakoś wyeliminować, ale trzeba podyskutować jak. Ja na to nie mam dobrego pomysłu. Możliwe jest zawsze potępienie środowiskowe, rodzaj ostracyzmu, ale to wymaga porządnego etosu wśród pracowników. Jak wygląda ogólny etos pracowników uczelni, którzy byli na rozmaite sposoby demoralizowani przez kolejne zmiany, tego nie wiem, trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że z etosem nie jest najgorzej, bo gdyby te patologiczne praktyki były rzeczywiście masowe, to należałoby przyznać rację krytykom, że całą tę „stajnię Augiasza” trzeba porządnie wyczyścić. Nie jestem jednak

taką pesymistką. Mam wrażenie, że zachowania patologiczne są mniejszościowe i że każdy rodzaj regulacji jakąś patologię za sobą pociągnie. Są ludzie, którzy mają skłonność, by przy każdej regulacji coś ugrać, żeby się dostosować za wszelką cenę. Każda regulacja będzie pociągała za sobą jakiś rodzaj nadużyć.

A.K.-B.: Czy Pani Profesor widzi szansę na to, że uczelnia będzie spełniać funkcję formacyjną, żeby przeciwdziałać tym „złym praktykom”? Czy uczelnia daje szansę na nauczanie takich postaw, skoro mamy dużo studentów i jesteśmy rozliczani z innych obszarów niż kształtowanie postaw studentów, nauczanie? Czy też my, nauczyciele akademicki, musimy się godzić na to, że studenci będą działać w pośpiechu i bylejakości. A my, podobnie, troszcząc się o te przestrzenie, z których jesteśmy rozliczani, będziemy się na to godzić, przymykać oko, działać powierzchownie – żeby samemu przetrwać?

M.K.: Cóż, pewne elementy reformy Gowina są racjonalne z tej perspektywy, bo przynajmniej w założeniu ma ona służyć i temu, by nauczanie było jednak trochę bardziej wymagające, a mniej masowe, by zwiększyć wymagania stawiane studentom i oczywiście nauczycielom akademickim. Im więcej jest studentów, tym poziom siłą rzeczy bardziej się obniża, a im niższy jest poziom studentów, tym więcej jest tych rozmaitych nadużyć, pospiesznego kopiowania, przepisywania, plagiatowania itd. Uczelnie mogłyby być bardziej elitarne, ale pod warunkiem, że inne rodzaje wykształcenia, niekoniecznie uniwersyteckiego, byłyby także cenione. Obecnie mamy patologiczną, paradoksalną sytuację. Z jednej strony oczekuje się od znacznej części społeczeństwa, że będzie miało wykształcenie wyższe, z drugiej zaś – to wykształcenie staje się bezwartościowe. Ograniczenie liczby studentów powinno się wiązać z podniesieniem wymagań wobec nich. I nawet nie chodzi o to, aby w punkcie wyjścia mieli już dużą wiedzę, ale o to, by chcieli ją uczciwie zdobywać.

Oczywistym jest, że część studentów nie powinna się znaleźć na uczelni. Aż do ostatniej zmiany algorytmu finansowania¹, którą minister Gowin już wprowadził, nie było wyjścia z tej patowej sytuacji. Bo jeśli usunięcie studenta groziło spadkiem dotacji uczelni, to trzymało się każdego, bez względu na to, czy się nadawał, czy nie. To była patologiczna sytuacja. Obecnie proporcja prowadzących do liczby studentów ma być zracjonalizowana. Ale mimo wszystko, pozostały już pewne nawyki, młodzi się przyzwyczaili do pewnego stylu studiowania. Studia, przez niektórych, są traktowane jako inwestycja, jak się potocznie mówi, w papier (w sensie dyplom wyższej uczelni),

¹ Rozporządzenie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2016 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie sposobu podziału dotacji z budżetu państwa dla uczelni publicznych i niepublicznych (Dz. U. z 2016 r., poz. 2016).

a nie w realny rozwój siebie, wykształcenie. Tacy studenci studiami nie żyją, nie traktują ich jako wyzwania intelektualnego. To związane jest oczywiście z masowością, ale także z pewnym stosunkiem do życia, takim bardzo praktycznym – na zasadzie: co ja będę miał z tego, że będę miał same piątki, że się tego nauczę. Tak naprawdę chodzi o to, by mieć możliwie dobrze płatną pracę, a studia są tylko pewnego rodzaju przepustką do tego, nie są żadnym celem samym w sobie.

A.K.-B.: Ale to pojawia się już znacznie wcześniej, już na etapie matury młodzież wybiera, przynajmniej w jakimś stopniu, tę drogę kariery.

M.K.: Tak, niestety, tak. Ten rodzaj złego, w moim przekonaniu, pragmatyzmu bardzo szybko się zaszczepia. Mnie swego czasu naprawdę gorszyło to, że wymuszana jest specjalizacja na poziomie liceum i to bardzo konkretnie sprofilowana (techniczna, menadżerska). Jak człowiek ma piętnaście lat, to nie musi podejmować takich decyzji.

A.K.-B.: Pani Profesor, spójrzmy w takim razie na rysującą się przyszłość uniwersytetu. Pojawiają się takie określenia, że uniwersytet ma być zaangażowany, otwarty, nowoczesny itd. Tych przymiotów można byłoby wyliczyć jeszcze szereg. I można powiedzieć, że opisują one także oczekiwania wobec społeczeństwa. To są takie kluczowe wartości, na których chcielibyśmy społeczeństwo budować. Jaki ma być ten uniwersytet?

M.K.: Trzeba rozróżnić dwa pytania: jaki chcielibyśmy, żeby był? Oraz jaki prawdopodobnie będzie, zgodnie z pewnymi obiektywnymi trendami? Zacznę od tego drugiego pytania. Jeżeli te obecne trendy, związane z technokratyzacją i urynkowaniem całego życia społecznego, utrzymają się, to uniwersytet będzie miał coraz mniejsze znaczenie. Nie będzie żadną kuźnią, tylko usługodawcą, pewnego rodzaju firmą. Prawdopodobnie będzie też tracił na znaczeniu na rzecz alternatywnych sposobów kształcenia, samokształcenia przede wszystkim z wykorzystaniem Internetu. Innymi słowy, tradycyjnie rozumianemu uniwersytetowi grozi coraz głębszy kryzys. Ja nie chciałabym, żeby tak było. Jednak, by tak się nie stało, nie wystarczy walczyć o zmianę filozofii samego uniwersytetu. Należałoby zabiegać o inne społeczeństwo, jakiś inny system, bardziej zrównoważony, pozbawiony takiego silnego nacisku na element konkurencyjności, na rozwój gospodarczy, a bardziej nastawiony na dialog, współpracę, nawet na pewną bierność wobec świata, na jakąś harmonię z przyrodą...

A.K.-B.: Na zrównoważony rozwój...

M.K.: Tak, to jest mi bardzo bliskie. Są koncepcje uniwersytetu, które można nazwać ekologicznymi, gdzie ludzie bezinteresownie ze sobą rozmawiają, badając różne rzeczy. Tworzą środowisko ludzi bezinteresownie zain-

interesowanych. Nieproduktywnie, bez związku z gospodarką, inwestując czas w pasje i dyskusje. Można sobie wyobrazić małą, elitarną uczelnię działającą na tych zasadach, coś w rodzaju Akademii Platońskiej, ale to nie jest realistyczna koncepcja dla współczesnego uniwersytetu. Ale można sobie wyobrazić coś pośrodku, między taką utopijną akademią a technokratyczno-biznesową korporacją, a raczej coś ponad taką alternatywą – i tego bym właśnie chciała. Żeby uniwersytet był kuźnią demokracji, postaw krytycznych i obywatelskich. To wymaga zrównoważenia obecnego systemu praktykami partycypacyjnymi, zaangażowania; zadbania o to, by było miejsce na dyskusje w ramach wykładów ze studentami, także regularnych spotkań kadry starszej i młodszej na poziomie instytutów, wydziałów i całej uczelni. Dzisiaj nawet rady wydziału, senatu są w dużej mierze całkowicie sformalizowane, „zalicza się” się kolejne punkty programu, a tylko od czasu do czasu, przy drażliwym temacie, pojawia się dyskusja. Od dawna na uczelniach się nie dyskutuje, ludzie z tego samego środowiska ledwo się znają. Są takie inicjatywy, np. Uniwersytet Zaangażowany, który promuje aktywne postawy w życiu akademickim. Są różne interesujące publikacje krytyczne wobec obecnych trendów, proponujące koncepcje takich prodemokratycznych zmian, np. książka Krystiana Szadkowskiego (2015), analizująca technokratyzację i komercjalizację uczelni i przeciwstawiająca temu różne inicjatywy. Także za granicą jest wiele publikacji, są protesty studentów i nauczycieli akademickich. Są ludzie, którzy są zaangażowani, którzy mówią i piszą, że uniwersytet podąża w złą stronę (biurokratyzacji, komercjalizacji). Jest ferment na całym świecie, i oby z niego coś wynikło. Ale na razie w Polsce ten ferment jest słaby. Gdy powstaje projekt kolejnej reformy, to nie tych głosów się słucha, tylko wpływowego lobby technokratycznego i biznesowego.

A.K.-B.: Pani Profesor, „Parezja” jest pismem tworzonym przez młodych naukowców i z myślą o nich. Wiem, że to może trochę naiwnie zabrzmieć, ale gdyby Pani mogła z perspektywy swoich doświadczeń, wiedzy, przemyśleń przekazać coś młodym, stworzyć jakiś porządek wartości na ich przyszłe działania... Z perspektywy własnego, dobrze pojętego bagażu doświadczeń, o którym Pani Profesor wcześniej wspominała.

M.K.: Nie chciałabym, by te moje propozycje zbyt naiwnie brzmiały, typu: dbajcie o siebie, troszczcie się o duszę (śmiech), a nie o punkty, stypendia i karierę, bo, jak wiadomo, tak się nie da. Troszczyć się w dzisiejszym świecie tylko o wartości duchowe byłoby rzeczą heroiczną, niezwykle trudną. Trudno namawiać studentów, by zrezygnowali z praktycznych korzyści, które wiążą się ze studiowaniem, ale radziłabym właśnie tyle, żeby się do tych korzyści nie ograniczali. Żeby wykorzystali studia i w ogóle wszelką edukację nie tylko do

zdobycia dyplomu i konkretnych umiejętności, ale by angażowali się w życie środowiskowe, do kształcenia kultury ogólnej, do rozmów z wykładowcami, którzy z jakichś powodów wydają się interesujący (nie tylko przy okazji egzaminów czy zajęć), ale przy różnych okazjach i na różne sposoby. By wykorzystywali ten pobyt na uczelni w sensie intelektualnym i społecznym, bo, póki co, to jednak uczelnia ciągle jeszcze stwarza możliwości do angażowania się, rozwijania swoich zainteresowań, nawiązywania kontaktów, czego młodzi często nie dostrzegają albo nie doceniają. Najprościej mówiąc, nawiążę do drugiej formuły imperatywu Kanta², głoszącej, by drugiego człowieka nie traktować tylko jako środka, ale także jako cel, i powiem, żeby również studia traktować nie tylko jako środek, ale także jako cel sam w sobie.

A.K.-B.: Bardzo dziękuję za rozmowę.

BIBLIOGRAFIA

- Brzezicka, B. (2017). *Nauka? Praca jak każda inna! Krytyka Polityczna*. Pozyskano z: <http://krytykapolityczna.pl/nauka/nauka-praca-jak-kazda-inna/>, (data dostępu: 30.09.2017).
- Kant, I. (1984). *Krytyka praktycznego rozumu*. Przekł. oraz przedm. J. Gałęcki. Warszawa: PWN.
- Liotard, J.F. (1997). *Kondycja ponowoczesna. Raport o stanie wiedzy*. Przekł. M. Kowalska, J. Migasiński. Warszawa: Fundacja Aletheia.
- Rozporządzenie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2016 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie sposobu podziału dotacji z budżetu państwa dla uczelni publicznych i niepublicznych (Dz. U. z 2016 r., poz. 2016).
- Sławek, T., Stępień T., Gielaty, I., Koziołek R., Bielak, T. (2010). Darwinizm na uniwersytecie. *Świat i Słowo*, 1(14), s. 15–33.
- Szadkowski, K. (2015). *Uniwersytet jako dobro wspólne. Podstawy krytycznych badań nad szkolnictwem wyższym*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

SUMMARY

University vs the technocratic and business-oriented approach

The interview included several topics concerning university regarded as the knowledge production space, a place forming future elites, and a place of work. Philosopher Małgorzata Kowalska presents an extensive analysis of the current trends in university functioning and of the changes in the work of academics. She also shows the consequences of neoliberal entanglement of university for the understanding of its mission and defining the essence of university teachers' work.

KEY WORDS: university, reform, knowledge, competition, superficial activities

² Druga formuła imperatywu brzmi: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka” (Kant, 1984, s. 62).